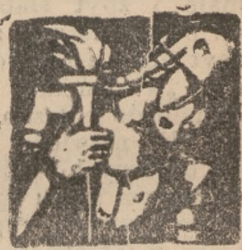
# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Rok V. Warszawa, 9 Maja 1925 r. № 19.




**Cena numeru 25 groszy.**


*Jan Ludwik Popławski, w jednej ze swych rozpraw, zastanawiając się nad kwestją żydowską, przytoczył opinję W. Zieminskiego z r. 1810, który na zasadzie badań historji żydów wśród innych narodów, do takich oto doszedł wniosków:*

*„Żydzi, jeżeli obejmiemy całość dziejów sekty, przechodzą zawsze kolejno trzy fazy stosunku swego do społeczeństwa, w którem żyją.*

*W pierwszym okresie sekta w postaci luźnych gromadek szuka przytułku wśród obcych. Gromadki te, złożone z rękodzielników i przekupniów, dzielą życie między spełnianie obrządków swej religji i zabiegi o kawałek chleba, nie biorąc udziału w życiu miejscowego społeczeństwa.*

*Po pewnym czasie sekta się rozrasta. Członkowie jej to kapitaliści, przedsiębiorcy, posiadacze nieruchomości, częstokroć dygnitarze. Biorą już oni udział w życiu społeczeństwa, które zamiast dawnego lekceważenia okazuje szacunek ich uzdolnieniom i poddaje się w wielu rzeczach ich kierownictwu.*

*W trzecim okresie, sekta, silna potęgą materjalną i organizacją, ujawnia poczucie swej solidarności i wyższości nad otoczeniem, traktując je lekceważąco i narzucając mu swe przewodnictwo.*

## MOLOCH WSZECHFIKCYI.

Ogromna ilość ludzi, kulę ziemską zamieszkujących, od zamierzchłej przeszłości samorzutnie organizowała się w gromady przyrodzone, które zwiemy narodami. I do dziś dnia ta praca organiczna trwa jeszcze tu i owdzie (jak np. w Ameryce), gdzie opóźnione warunki historyczne teraz dopiero ludzi do niej zmuszają. Wielki ten proces dziejowy jest konieczny i dobroczynny, odbywa się w ramach właściwości geograficznych ziemi, wspiera się na zasadach pokrewieństwa rasowego i pozostaje w zgodzie z największemi prawami biologji.

Sama przyroda w łonie gatunku ludzkiego stworzyła naród, jako typ gromady, która najlepiej i wszechstronnie zabezpiecza życie i rozwój jednostki. Dwie wstępne formy zbiorowego życia ludzkiego, t. j. rodzina i plemię są zbyt małe i zbyt słabe dla kultury i bezpieczeństwa jednostki, dwie zaś formy zstępne t. j. rasa i szczep są do tego celu zbyt duże i rozproszone. Dopiero naród jest owem artystycznem „w sam raz“ mistrzyni — przyrody, znakomicie dostosowanem do potrzeb jej jedynaka ukochanego — jednostki.

Do niewielu zasadniczych cech, któremi człowiek różni się od innych zwierząt, należy i tę dołączyć, że zdołał on w swojem życiu społecznem wytworzyć naród, jako zupełnie nowy i wyższy typ gromady zorganizowanej. Poza człowiekiem świat zwierzęcy nie ma narodu, ani jego odpowiednika, chociaż posiada odpowiedniki rodziny, plemienia, szczepu i rasy. Życie duchowe, bogactwo sił, złożoność potrzeb zmusiły człowieka do stworzenia w gatunku swym nowej gromady organicznej — narodu. Potrzeba jest matką wynalazków. Naród jest genjalnym oprzędem jednostki ludzkiej.

Jednostka jest jedynym na ziemi żywym konkretem, jedynym na ziemi podmiotem życia. W sferze społecznej poza jednostką istnieją tylko formy życia gromadnego — rodzaj różnych zasięgów, lub zakresów życia jednostki. Ale treść życia ogniskuje się tylko w podmiocie, tylko w jednostce. Wszystko inne w zjawiskach gromadnych — to wielki dwór służebny, z którego jednostka może, jeśli umie, korzystać. Dwór ten żyje zbiorową twórczością i wysiłkiem wielu jednostek, więc tyle tylko ma życia i sił, ile od nich otrzyma. Nawzajem — wszystko, co ma, daje on jednostkom, które go utrzymują. Ta stała wymiana usług jest koniecznym warunkiem życia jednostki i gromady.

W świecie ludzkim naród jest genjalnym oprzędem jednostki. Rodzina byłaby do tego celu zaciasna i zasłaba. Wystarcza ona każdemu innemu zwierzęciu, nie może wystarczyć człowiekowi. Szczep byłby do tego celu zaluźny, zbyt rozproszony, przeto również zasłaby. W świecie zwierzęcym odpowiedniki szczepu odgrywają już tylko rolę bijologiczną, która nie może zastąpić czynności wyższego rzędu — społecznych. Pozostaje naród, jako „złoty środek“ przyrody i twórczości

ludzkiej. Naród w stosunku do jednostki wziął na siebie społeczne czynności wielkiej rodziny, i bijologiczne czynności małego szczepu.

Nie można sobie wyobrazić życia i rozwoju pełnej jednostki ludzkiej bez rodziny. Pierwsze piętnaście lat życia dziecka — to dzieło rodziny. W tym samym stopniu nie można sobie wyobrazić życia i rozwoju pełnej jednostki ludzkiej bez wielkiej rodziny — bez narodu. Pierwsze trzydzieści lat życia człowieka — to dzieło narodu. (Rodzina żyje w łonie narodu, więc od początku naród poprzez rodzinę działa na jednostkę). Do lat trzydziestu (mniej więcej) człowiek jest dzieckiem narodu, poczem dopiero staje się jego obywatelem (w znaczeniu nie prawnem, lecz moralnem). Od tego wieku począwszy człowiek zupełnie się usamodzielnia i wtedy naród zaczyna żyć w łonie jednostki, jak dotąd jednostka żyła w łonie narodu. Razem z tem cudownem zjawiskiem odwracają się prawa i obowiązki narodu i obywatela.

Liczby, które tu podaję, są luźne, naturalnie. Różne tu mogą być wahania i wyjątki, czego uznanie powierzam dobrej woli czytelnika. Ale zasada jest prawdziwa. Jak rodzina jest małym, tak naród—wielkim oprzędem jednostki. Ze względu na bogactwo i różnorodność życia ludzkiego mały oprzęd sam jeden byłby zaubogi, a ze względu na niebezpieczeństwa zewnętrzne — zasłaby dla zachowania i rozrostu jednostki. Wielki oprzęd narodu ochrania i wzbogaca nietylko jednostki, lecz i rodziny. A jak dziecko, gdy przekracza wiek młodzieńczy, zaczyna mieć względem rodziców i rodziny obowiązki, które przedtem miała względem niego rodzina, tak też obywatel, gdy przekracza wiek męski, zaczyna mieć te względem narodu obowiązki, które przedtem naród jemu wyświadczał. Na tem się snuje ciąg dziejów człowioka, na tem buduje się jego kultura.

Jak we wstępnym porządku od jedynego podmiotu życia i jedynego konkretu przyroda w budowie form życia społecznego zatrzymała się na narodzie, jako formie najbardziej dla pojedynczego cztowieka celowej, tak samo w porządku zstępnym — od wielkich gromad ludzkich, od ras począwszy i schodząc stopniami do coraz szczuplejszych i treściwszych skupień przyroda zatrzymała się również na narodzie, jako na jedynie praktycznym dla jednostki kształcie życia gromadnego. Najpełniejsza celowość i praktyczność narodu, jako narzędzia jednostki ludzkiej, wyraża się przedewszystkiem w tem, że naród stoi ściśle na pograniczu dwóch światów — bijologicznego i społecznego. W narodzie, mianowicie, z jednakową i wielką siłą objawiają się i równe pole działania otrzymują zarówno prawa bijologiczne życia, jak socjologiczne. Tej podstawowej harmonji praw i sił żadna inna gromada ludzka dać nie może, jedne dlatego, że są zaścisłe i zamałe, a przez to zasłabe (jak rodzina i plemię), inne dlatego, że są zaluźne i zawielkie, a przez to również zasłabe (jak szczep i rasa). Tylko naród daje człowiekowi pełną rękojmię życia i doskonalenia się.

Gdy opuścimy drogę bijologiczną, której głównie trzymałem się w rozumowaniu powyższem, aby wejść na górniejszą ścieżkę rozważań czysto społecznych, wtedy jeszcze szybciej do tych samych wniosków dojdziemy. Jest rzeczą oczywistą, że wobec tych zadań i perspektyw życia, które człowiek dotychczas przed sobą postawił, jednostka sama jedna jest żałośnie bezsilna. Musi być zrzeszenie jednostek, musi być gromada. Chodzi tylko o to, na jakiej mianowicie gromadzie zatrzymać się mamy, aby odpowiadała trzem głównym warunkom pracy społecznej, t. j. dostatecznej siły, spójności i wielostronności. Pierwszy rzut oka przekonywa, że do celu tego nie nadaje się żaden zawód poszczególny, żadna jedna tylko warstwa społeczna, żaden stan, żadna czynność ludzka osobno wzięta. Już w najmniejszej gminie społecznej, w pierwotnej rodzinie człowieka dzikiego nastąpił samorzutny podział pracy i czynności.

W społeczeństwach cywilizowanych największą wielostronnością, spójnością i siłą w podziale i wydajności pracy odznacza się naród. Poza naród — w kierunku jeszcze większych liczebnie gromad nie można wyjść i nie warto się wychylać poprostu dlatego, że poza nim natrafiamy tylko na powtórzenie tego samego podziału pracy i tych samych warunków wydajności, które naród osiągnął już, lub ma osiągnąć. To zaś, co w narodzie jest wynikiem wyłącznie jego rasy, ducha i kultury, może być przedmiotem naśladowania, wpływu, lub wymiany pomiędzy narodami, jako jednostkami społecznemi, ale nie może być wspólną ich twórczością i własnością. To samo dotyczy wytworów zależnych od klimatu, gleby i t. p. Polska nigdy nie będzie dostarczała światu pomarańcz, ani Włochy—zboża, ale nie idzie za tem, żeby Polska miała się z Włochami w jedną całość połączyć. Wystarczy handel zamienny.

Ponieważ łączenie ludzi w większe, niż naród, gromady nie pomnożyłoby, ani wzmocniło struktury ich społecznej (od gminy do państwa), czego nam błędy historji wielokrotne dały dowody, więc ideja większych, niż narodowe gromad mogłaby uzasadnienia swego szukać tylko w gospodarczej liczebności. Że jednak arytmetyki liczb oderwanych nie można stosować do tworów żywych, więc tu musimy nawrócić do drogi bijologicznej, z którą tak często krzyżuje się ścieżka społeczna. Gdyby gromada ludzka była tworem wyłącznie gospodarczym (jak tego chcą socjaliści) siła jej (do pewnej zesztą, granicy) byłaby wprost proporcjonalna do liczebności. Ale żaden wysiłek nie stworzy ze skupień ludzkich gromady wyłącznie gospodarczej, ponieważ niema na świecie czynności najprostszej, któraby nie zazębiała się z genjuszem ducha ludzkiego. Człowiek posiada umysł i duszę — tego faktu żaden socjalizm już nie odrobi. Naród, jako twór samorzutny, łączący w sobie harmonijnie siły bijologiczne i społeczne człowieka, jego kulturę i cywilizację, tem jest cudowny, że ciało uskrzydla du-

chem, a ducha urealnia ciałem. Tego żadna inna gromada ludzka dokonać nie zdoła.

Do tego samego wniosku (powiedzmy to w formie żartobliwej) doszła przyroda w ciągu swej nad krnąbrnym człowiekiem pracy dziejowej. Wielkie początkowe rozlewiska gatunku ludzkiego—rasy (czarna, żółta, biała i t. d.) rozradzały się i rozpełzały się po kuli ziemskiej na zasadach życia rodzinnego i plemiennego (rodowego). W ciągu tego pierwszego okresu, niemal wyłącznie bijologicznego, rasy z konieczności rozproszenia rozpadały się na szczepy dopóki miejsca na ziemi starczyło. Szczepy—to także były wielkie, choć mniejsze od ras rozlewiska (np. szczep słowiański, romański. germański i t. d. rasy białej). Ale nadeszła chwila, gdy miejsca na ziemi zabrakło i człowiek musiał zacząć organizować gromady swe na wyższych zasadach. Rozlewiska musiały się spiętrzać. aby żyć. To jest właśnie chwila narodzenia się narodów.

Ograniczone co do miejsca, zagrożone od sąsiadów rodziny i rody zmuszone zostały do ścisłego skupiania się według najbliższych pokrewieństw językowych, geograficznych, moralnych i gospodarczych. Tym sposobem zetknęły się w przebiegu dziejowym dwie prastare siły w gromadach ludzkich działające—odśrodkowa (rozpadanie się ras na szczepy i szczepów na plemiona) z dośrodkową (skupianie się rodzin w rody (plemiona) i rodów w szczepy). Wynikiem tego zetknięcia się dwóch wielkich sił był naród, czyli spiętrzona (jakoby) gromada wielokrotnie zwartsza, silniejsza i bogatsza nietylko od rodu słabego i ubogiego przez swą małość, ale i od szczepu—słabego i ubogiego przez swą ogromność. Język polski w sposób, jak zwykle, genjalny ujął i wyraził cały ten proces od strony organizacyjnej skupiania się i nazwał nowy twór „narodem", czyli tworem „na rodach" powstałym.

Spójrzmy teraz na sprawę tę z punktu widzenia praktycznego i logicznego. Jednostka jest jedynym na świecie konkretem żywym, jedynym przedmiotem życia. Wszystko robi się przez nią i dla niej. Każda gromada jest tylko formą wyższego i doskonalszego życia jednostek, czyli, krótko mówiąc, gromada jest narzędziem jednostki. Rzecz prosta, że narzędzie powinno odpowiadać celowi, metodom pracy i siłom, oraz zdolnościom jednostki. Nie może być ani zaciężkie, ani zawielkie, ani zamałe, ani zasłabe. Nie może być ani zbyt złożone, ani zbyt proste. W danym zaś wypadku, jako gromada ludzi żywych stosowana do życia, które jest zmienne, giętkie i nie zawsze obliczalne, narzędzie to musi być również zmienne, giętkie, w użyciu wielostronne. Otóż ze wszystkich gromad możliwych, jedna tylko—naród odpowiada wszystkim wyliczonym tu i niewyliczonym warunkom pracy, życia i rozwoju.

Naród posiada w sobie tyle treści, form i czynności, że każda jednostka z tych, które się nań składają, znajduje w nim pełnię, a nawet nadpełnię zastosowania i rozwinięcia wszystkich swoich potrzeb, sił i zdolności. Nie można tego powiedzieć o rodzinie i rodzie. Nie można również wartości tych przypisać szczepowi i rasie, a tembardziej— całemu gatunkowi

ludzkiemu, czyli ludzkości. Naród jest spiętrzonym wierzchołkiem gromadnej pracy społecznej i bijologicznej. Z niego ogarnia człowiek najszersze widnokręgi życia. Im dalej od narodu posuwamy się ku szerszym gromadom ludzkim, tem mniej napotykamy treści, aż w końcu we wszechludzkości natrafiamy na wszechfikcję zgoła nieistniejącą.

Ludzkość jest tylko pewnym gatunkiem zwierząt dwurękich i dwunogich, obdarzonych mową artykułowaną i umiejętnością posługiwania się ogniem. Oto wszystko, co o ludzkości powiedzieć można. Dla nauki ludzkość jest pojęciem, które się przeciwstawia pojęciu innych gatunków zwierzęcych. Ponieważ dziki australijczyk jest tak samo człowiekiem, jak genjusz rasy białej, więc, oczywiście, wspólne ich cechy człowieczeństwa sprowadzają się do wyżej podanej definicji. Czemże wobec tego jest „wszechludzkość", do której wabi dziś jednostkę i narody mafja żydowska z pomocą masonów i socjalistów? A wabi do niej, jako do konkretnej formy współżycia, mającej zastąpić narody i państwa... Jest molochem wszechfikcji.

Urzeczywistnienie tego molochu tylko na gruzach narodów, kultury i cywilizacji byłoby możliwe. Zniszczenie narodów i stworzenie wszechludzkości byłoby powrotem ludzi do tego stanu, z którego już przed miljonami lat wyszli, chociażby nawet zachowali umiejętność posługiwania się parą, elektrycznością i samolotami. Lecz powrót ten jest już niemożliwością fizyczną. Nawet w granicach jednej rasy, naprzykład, białej stworzenie z pominięciem narodów gromady zorganizowanej i do życia zdolnej jest rzeczą niemożliwą, a narzucenie jej gwałtem wydałoby twór martwy i chwilowy. Gromada o tak różnorodnych fizycznie i duchowo typach ludzkich, rozrzucona na tak ogromnych przestrzeniach, wśród tak różnorodnych warunków nie przetrwałaby dłużej, niż pierwsze lepsze imperjum, dotychczas siłą narzucane, a prócz spustoszeń i nienawiści nicby po niej nie zostało. A to dla tej przyczyny głównej, że gromada taka, jako narzędzie, źle służy jednostce, owszem — tylko ją gwałci i niszczy.

Niepodobna przypuścić, aby nie wiedzieli o tych prawdach żydzi—idejowi twórcy i propagatorzy „ludzkości", jako nowej formy życia. Wiedzą, że to jest fikcja, lecz wiedzą również, że ciemne warstwy narodów, o ile do tej fikcji zwabić się i uwieść dadzą, po drodze do niej muszą zniszczyć narody. A tylko o to żydom chodzi. Niezniszczalność jako potwornego molocha postawić przed motłochami świata i rękami tych motłochów wrzucić żywe narody w gorejącą paszczę wszechfikcji, aby potem samemu ze swym nietkniętym „narodem wybranym" zapanować nad okaleczoną, bezgłową i bezkształtną masą wyrobników ludzkich—oto zbrodnia, która się w zbiorowej duszy żydowskiej wylęgła.

Wystarczy to, aby żydów na zawsze ze społeczności ludzkiej usunąć, jako najczarniejszą reakcję baphometowych świata huliganów. *St. Pieńkowski.*

## WYJAŚNIENIE.

W przelotnem skrzyżowaniu szpad pomiędzy mną a p. Pawłem Czaykowskim, wyjaśniło się, że i on nie widzi w Polsce antysemityzmu ani w przeszłości, ani w teraźniejszości. O to mi głównie w polemice chodziło, a chociaż natarcie moje powstało, jak widzę, z nieporozumienia, sprawa zyskała na jeszcze jednej iskrze jasności, z żelaz naszych wykrzesanej.

Poruszyliśmy jednak przy sposobności dwie sprawy uboczne. Pierwsza dotyczy wyboru pomiędzy antysemityzmem a asemityzmem. Myślę, że o ile w obronnej przeciw żydom akcji, naród polski zastosuje metody, jakie z charakteru jego wynikają, t. j. niepogromowe, niekrwawe, ale kulturalne, lecz do celu, czyli do usunięcia żydów z kraju niezłomnie zmierzające (a na to się zanosi), to wtedy jest rzeczą zupełnie obojętną, jak ta akcja nazywać się będzie. Możemy zostać przy antysemityzmie, jako nazwie utartej.

Porównanie, które p. Czajkowski przytoczył, — o antyseptycznem postępowaniu, nie ma tu, podług mnie, rzeczowego zastosowania. Comparaison n'est pas raison. Antysemityzm nie oznacza bynajmniej gwałtowności środków, a i wogóle żadnych metod nie przewiduje. Oznacza on jedynie kierunek i cel, które w zupełności pokrywają się z kierunkiem i celem asemityzmu. Jeżeli kryje się coś w owem „a“, którem mamy „anty“ zastąpić, to jedynie kryje się pewna bierność, do której Polacy są tak skłonni. Zaś w walce z żydami bierność jest już początkiem porażki. Porównanie z aseptyką tem jest mylne, że w medycenie chory nie jest lekarstwem, a w społeczeństwie zagrożonem lekarz, chory i lekarstwo — to jedno i to samo. Nawet duża doza „anty“ nie wykolei polaków z równych szyn nieuleczalnego ich humanitaryzmu.

Druga sprawa dotyczy ulegania hypnozie żydowskiej, co p. Czaykowskiemu jako zarzut przypisałem. Widzę z odpowiedzi, że mego przeciwnika nerwowo zarzut ten dotknął. Wyjaśniam lojalnie, że hypnoza ta, aby działać, nie wymaga bezpośredniego obcowania Polaka z żydami. Na tem właśnie sztuka polega, że hypnoza rozpylona jest umiejętnie i obficie w tak zwanej „atmosferze duchowej“ pokolenia, nawet epoki całej. Ulegają jej całe narody i wieki. Niech to więc nie obraża mego chwilowego przeciwnika, że tak bez ceremonji z jego szaty rozumowej zdjąłem jedną nitkę pajęczyny, którą wszyscy mniej więcej jesteśmy opłątani. Z siebie samego też nie czynię tu wyjątku, więc to mi pozwala i o innych mówić ze spokojem, który aż na bezczelność zakrawa. Nie mam zamiaru z nikogo drwić, nikomu łatek przypinać. Sprawę oceniam zbyt poważnie.

Jestem pewien, że to małe zderzenie się „a“ z „anty“ nie zamąci nadal naszej współpracy.

*St. Pieńkowski.*

# STRÓŻE SZABASU I STRÓŻE NIEDZIELI.

Nie zwróciła baczniejszej uwagi społeczeństwa polskiego wiadomość, która ze szpalt pism żydowskich przedostała się i do naszej prasy. Chodzi mianowicie o „stróżów szabasu,“ którzy pilnują, by żydzi obchodzili dzień święty zgodnie z tradycją, a więc zamykali sklepy, nie palili papierosów na ulicy, nie puszczali się w podróż i t. d. Oczywiście, kupców żydów z dzielnic jeszcze chrześcijańskich zwalnia się od święcenia szabasu za jakąś opłatą na cele kahalne.

Pozatem jednak do ogółu żydów „stróże szabasu“ stosują środki przymusu i to nawet całkiem brutalne. Spóźniający się z przerwaniem handlu w piątek wieczorem straganiarze stają się ofiarą czynów, które, o ileby dokonali ich nie stróże szabasu, nazwanoby pogromem. Znane są fakty bicia przechodniów żydowskich za palenie papierosów w sobotę, lub też pasażerów żydów, którzy w dzień szabasu przybywali do Góry Kalwarji. Zdarza się, że ciosy spadają na chrześcijan, którzy nie mają rysów twarzy wyraźnie aryjskich.

Nie mamy nic przeciwko temu, by żydzi święcili szabas przez powstrzymanie się od wszelkiej pracy. Możnaby kwestjonować tylko, czy polskie władze państwowe powinny się w to wdawać. Święcenie szabasu nie jest przez żadną ustawę sejmową nakazane, możnaby więc przypuszczać, że wolno jest w Polsce szbabas święcić, albo i nie święcić i że władze nasze powinnyby raczej bronić wolności obywateli w tej sprawie.

Tymczasem w „Hajncie“ (Nr 72) w sprawozdaniu z zebrania „stróżów szabasu“ czytamy: „Rabin wyraził podziękowanie komisarzowi rządu w Warszawie za pozwolenie wydawania członkom legitymacyj, aby policjanci nie przeszkadzali im w pracy”, innemi słowy w zmuszaniu do święcenia szabasu.

Nie będziemy się zastanawiali nad tem, czy p. Komisarz rządu postępuje w tej sprawie słusznie i sprawiedliwie, zwrócimy raczej uwagę na co innego. Skoro p. Komisarz rządu usposobiony jest tak przychylnie dla święcenia szabasu, to niewątpliwie jeszcze bardziej leży mu na sercu święcenie niedzieli, które nakazują ustawy nasze.

Otóż najczęściej i najniebezpieczniej gwałcą to święcenie żydzi, na tysiąc sposobów omijając policyjne nakazy zamykania sklepów w niedzielę. Czy nie należałoby przeto powołać do życia instytucję stróżów niedzieli. Zwrócićby oni winni szczególną uwagę na żydowskich handlarzy i przekupniów. A spodziewać się należy, że policjanci tem bardziej nie będą „przeszkadzać im w pracy”, że stróże niedzieli nie będą się uciekali do środków tak brutalnych i nielegalnych, jak stróże szabasu.

*J. Kn.*

## NIEMCY A MASONERJA.

W jednym z ostatnich (2-IV) numerów tygodnika angielskiego „The Patriot“, zbliżonego poglądem na kwestję żydowską do „Myśli Narodowej“, znajdujemy pod powyższym tytułem ciekawe uwagi o masonerji niemieckiej, skreślone piórem p. Nesty H. Webster, autorki znanych (w Polsce choćby z recenzji w „Przeglądzie wszechpolskim) dzieł historycznych, oświetlających rolę tajnych stowarzyszeń w ruchach rewolucyjnych. Poniżej zamieszczamy przekład głównej części artykułu p. Webstera.

„Ostatnio „The Patriot“ często mówił o niebezpieczeństwach, grożących ze strony „Wielkiego Wschodu“ francuskiego; ważną jednak jest rzeczą uświadomić sobie, że ta potężna organizacja nie reprezentuje Francji: reprezentuje antyfrancuskie w niej żywioły, kierowane od wewnątrz przez grupę żydów. Loże Wielkiego Wschodu były w ostatniem stuleciu wylęgarniami pacyfizmu, antymilitaryzmu i antykatolicyzmu; analogicznie w Anglji te same idee były propagowane przez różne tajne stowarzyszenia. Zatem atakować Wielki Wschód nie znaczy to atakować Francję, podobnie jak odsłonięcie intryg Towarzystwa Teozoficznego nie oznacza oskarżenia pod adresem narodu angielskiego. W obu organizacjach wiele jest zwiedzionych niewinnych jednostek; lecz w obu wyższa hierarchja skrycie pracuje przeciw sprawie patrjotyzmu i wiary nietylko katolickiej, lecz wogóle chrześcijańskiej. To też we Francji tworzono oddawna związki takie, jak dzisiejsza *Ligue des Patriotes*, mające na celu obronę ducha narodowego i ideałów narodowych, od których tak daleko jest dzisiejszy rząd francuski, uzależniony od Wielkiego Wschodu.

Łatwo pojąć, że anti-patrjotyczna i anti-katolicka potęga Wielkiego Wschodu znakomicie przysłużyć się może sprawie nieprzyjaciół Francji. Monseigneur Landrieux, w nowej swej broszurze p. t. *La Leçon du Passé* (Editions Spes, 17, rue Soufflot, Paris) cytuje następującą uwagę Bismarcka, wypowiedzianą w rozmowie z burmistrzem Rheims w r. 1870: „Narody łacińskie, jak Francja, czerpią istotną swą siłę z katolicyzmu; pokonawszy katolicyzm francuski staniemy się panami Francji“. A w instrukcjach dla hr. von Arnim, ambasadora niemieckiego we Francji w r. 1872—który według Disraeli'ego (patrz „Coningsby“), był żydem pruskim — czytamy: „Aby przeciwdziałać, zgodnie z naszymi interesami, wpływowi Francji, trzeba osłabić katolicyzm... Jeśli uda się do tego doprowadzić, będzie to koniec Francji“. W innym liście do Sr. von Arnim, datowanym 16 listopada 1871 r.. Bismarck pisze: „Podejmuję długą, być może, straszną, walkę z Kościołem katolickim... pomogą nam republikanie francuscy, którzy pracują dla nas. Co ja atakuję ze względów politycznych, oni zaatakują, powodowani fanatyzmem anti-religijnym. Liczymy na nich napewno“. W sześć lat później Wielki Wschód, zawsze anti-katolicki wy-

kreślił imię Boga ze statutów i rytuału, a w biuletynie oficjalnym z r. 1885 oświadczył: „My wolnomularze dążyć musimy do zupełnego zniszczenia katolicyzmu“. Tak z ruchem wszechniemieckim współpracowała masonerja Wielkiego Wschodu.

Dodać należy, iż masonerja niemiecka nie wpajała tych wrogich względem patrjotyzmu uczuć, któremi przejęte były loże francuskie. P. Muller von Hausen, w książce p. t. *Die Altpreussachen, Logen und der National-Verband Deutscher Offiziere* (p. recenzję w *La Revue des Sociétés Secrètes* z dnia 22 marca — z której wyjmujemy niżej zamieszczone ustępy) wykazuje, iż trzy loże berlińskie, zwane Staropruskiemi: „Pod trzema globami“, „Wielka Loża Narodowa“ i Wielka Pruska Loża „Przyjaźni“ — przeciwstawiały się rozkładowym doktrynom, za podstawę swoich przekonań tu nie było mowy, jak w Anglji, o czasowem zerwaniu przez masonerję niemiecką stosunków z państwami nieprzyjacielskiemi — masonerja ta bowiem nie uznała nigdy zasady braterstwa międzynarodowego. W styczniu 1924 r. trzy wyżej wspomniane Wielkie Loże złożyły następującą deklarację:

„Jest dla nas rzeczą nie do zniesienia, żeby z powodu faktu przynależności do wolnomularstwa oskarżano nas bez cienia dowodu, o niedostateczną miłość ojczyzny, i żeby oskarżano nas o łączenie się w imię wspólnej sprawy z śmiertelnymi wrogami naszymi, Francuzami, albo o podtrzymywanie szkodliwych dla Niemiec stosunków z Anglikami, Włochami lub Amerykanami. Do programu naszego pod żadną postacią nie dopuścimy idei zbratania się powszechnego. Odrzucamy pacyfizm we wszystkich jego odmianach, a z internacjonalizmem nie mamy absolutnie nic wspólnego”.

Dalsze oświadczenie z dn. 16 lutego 1924 r. wyjaśniło, że te trzy Wielkie Loże, obejmujące trzy czwarte wolnomularzy niemieckich, są „stowarzyszeniami Niemców“, dążących do doskonałości moralnej w oparcie o „filozofję chrześcijańską i uczuciowe pierwiastki niemieckiej wiary narodowej“. Zasady to są wyznawane, gdyż „niema ideałów ogólnoludzkich“. Za trzema pierwszemi reszta lóż niemieckich pośpieszyła z oświadczeniem, iż żywi się tam tylko niemieckie uczucia i działa tak, jak Niemcom przystało; „że nie utrzymuje się stosunków z lożami w państwach nieprzyjacielskich i pracuje się poprostu dla stworzenia ludzkości niemieckiej“.

Uczucia takie są może zupełnie naturalne, nie są jednak masońskie. Jeśli masonerja oznacza cokolwiek — to przedewszystkiem system zbratania się, ludzi wszystkich ras, wszystko jedno, czy dający się pogodzić z patrjotyzmem, jak w Anglji, czy nie dający jak we Francji i Włoszech. P. von Hausen uważa mimo to, że loże niemieckie nie zaszły dość daleko, i że dopóki nie zerwą z resztkami uznania dla haseł międzynarodowych, stanowić będą niebezpieczeństwo dla kraju. Zdaje się, że to obawy nieuzasadnione. Wolnomularze niemieccy wraz z resztą swoich rodaków najwyraźniej uznają, że internacjonalizm jest tylko artykułem na eksport“.

## „ANTYCHRYST“ ROSTWOROWSKIEGO.

Teatr Polski w Poznaniu grał w ciągu kilku tygodni stale przy pełnej widowni, ostatni dramat Karola Huberta Rostworowskiego: „Antychryst”. Pomimo, że rzecz jeszcze nie została ogłoszona drukiem i że znana jest po za Poznaniem jedynie z czterowiersza, podanego przez „Myśl Narodową” (który, coprawda, sam autor uważa za kwintesencję sztuki), pomimo, że żaden inny teatr w Polsce nie kwapi się do jej wystawienia (wpływy żydowskie w teatrach polskich stanowić mogą niezwykle interesujący temat do osobnej rozprawki)—„Antychryst“ zdążył już wywołać w kołach lewicowo-żydowskich niemały huczek. Już bowiem ten jeden znany z „Antychrysta” czterowiersz—a jak przyznaje p. Wassercug „już dziś popularny czterowiersz“—wskazuje na to, że Rostworowski w swym ostatnim utworze dokonał dużego przewrotu w sposobie ujmowania kwestji żydowskiej przez naszą literaturę piękną.

Nie należy przez to rozumieć, że dotychczas literatura polska odznaczała się jakiemś specjalnem krótkowidztwem w tej kwestji. Każdy oświecony człowiek w Polsce wie już dziś bardzo dobrze, że jak legendą jest kolportowana usilnie przez historyków-żydów opinja o niezwykłej tolerancji polskiej w stosunku do żydów w ciągu długich lat naszych dziejów — tak samo pomiędzy bajki trzeba włożyć opowiadania żydowskich krytyków literackich, usiłujących wbrew oczywistej prawdzie wpoić w społeczeństwo nasze przekonanie o filosemityźmie naszej literatury pięknej.

„Myśl Narodowa“ w dwóch z kolei rozprawkach, traktujących o stosunku Mickiewicza i Wyspiańskiego do Żydów, wykazywała już w sposób nie zostawiający żadnej wątpliwości, że ci dwaj najgenjalniejsi twórcy narodowi, zdawali sobie doskonale sprawę z charakterem i roli żydostwa w Polsce. Do tych samych zresztą wniosków dojdziemy, gdy zbadamy twórczość i innych poetów czy powieściopisarzy polskich. Nawet u takich pisarzy, jak Orzeszkowa czy Żeromski, na których tak chętnie powołują się żydzi, snując legendę o rzekomym filosemityźmie naszej literatury, można łatwo wykazać, że bardzo trafnie odmalowywali charakter i skłonności rasowe żydostwa.

Jeden tylko problem z zakresu kwestji żydowskiej sprawiał dotąd trudności naszej literaturze pięknej i ten właśnie problem postawił i rozwiązał w swym dramacie Rostworowski w sposób śmiały i otwarty, głęboko wnikając w istotę zagadnienia. To stanowi właśnie główną wartość „Antychrysta“. Jest to problem żyda-asymilatora, żyda-idealisty.

Postać taką spotykaliśmy dotąd niemal zawsze w literaturze naszej, ilekroć brano temat z życia żydowskiego. I postać ta przeszkadzała stale autorowi w wyprowadzeniu ostatecznych wniosków ze znajomości typowej psychiki żydowskiej. Autor bowiem, bądź to oddawał się złudnej nadziei, że na takich

wyjątkowych idealistach-żydach oprzeć można program podniesienia etycznego szerokich mas żydowskich, bądź też, jeśli był bardziej trzeźwy, nie wierzył w to—ale żal mu było poświęcać tych „dobrych“ Żydów, co stawało się nieuniknione przy próbie postawienia ogólnego programu.

Mickiewicz, któremu nie obcy był typ żyda-szpiega, żyda-wyzyskiwacza i t. d. — załamuje się na swym Janklu „żydzie poczciwym, który Polskę jak Ojczyznę kochał”. Wyspiański, malując bogatą galerję Żydów od „modern” żydówki i handlarza żywym towarem począwszy, do pijawki-arendarza wiejskiego—nie uchronił się jednak w „Sędziach“ od idealisty Joasa. Reymont, przedstawiając w „Ziemi Obiecanej“ środowisko żydowskie w Łodzi, bankierów, fabrykantów, kupców, ich wszystkie oszustwa i matactwa—roztkliwia się jednak nad Melą Grünspan. Orzeszkowa oddając z niezwykłą siłą wyrazu i prawdy zgniliznę moralną Ghetta, wyłania z niej jednak postać dodatnią, Meira Ezofowicza. Przykładów takich znajdziemy zresztą w literaturze naszej więcej.

Prawda, że Jankla przedstawia Mickiewicz jako wyjątek; prawda, że co do Joasa można mniemać, jak to już zauważono w „Myśli Narodowej“, że nie był on dla Wyspiańskiego postacią realną ale uosobieniem Losu, Ananke; prawda także, że reymontowska Mela Grünspan wychodzi w końcu zamąż za ordynarnego żyda i zapomina o swych idealnych porywach; prawda wreszcie, że Meir Ezofowicz jest postacią podyktowaną raczej konwenansem literackim — trudno przecież nie mieć w powieści ani jednego typu dodatniego, tylko same „szwarccharaktery“. Ale wszystko to nie zmienia faktu, że postacie takie były w naszej literaturze, że wprowadzały niejednego w błąd i stały się podstawą do legendy o jej filosemityźmie, gdyż autorzy nie umieli sobie dać z niemi rady.

Rostworowski w swym „Antychryście“ daje nam dwa typy żydowskie. Pierwszy z nich, to Lejba Bienenstock, przedstawiciel ogółu żydowskiego, żyd-wyzyskiwacz, żyd-demoralizator, żyd-rewolucjonista wreszcie, marzący o tem, że rewolucja odda władzę nad gojami w ręce „narodu wybranego“. Drugi typ to doktór Grynsztajn, przedstawiciel „wyjątkowych“ żydów, żyd-asymilator, żyd-idealista, cierpiący nad tem, że go społeczeństwo polskie nie chce uznać za swojego.

Lejba Bienenstock miał wielu poprzedników w literaturze polskiej. Żyda-rewolucjonistę ukazał nam proroczo w „Nieboskiej Komedji“ Krasiński. Żyd-wyzyskiwacz, przewija się przez naszą literaturę ciągle. Ale o ile dotychczas mieliśmy do czynienia z fragmentami raczej, to Lejba Bienenstock jest koncepcją skończoną. Nic dziwnego. Powstał w okresie, kiedy z fragmentarycznego traktowania zagadnienia żydowskiego, społeczeństwo nasze przeszło do pełnego jej zrozumienia. Sam zaś Rostworowski badał zagadnienie bardzo poważnie i głęboko.

Widzimy więc na scenie żyda-szynkarza, który umie trafić do każdej słabości ludzkiej, podniecić ją — wreszcie wyzyskać i uczynić z nienawistnego goja niewolnika. Lejba Bienenstock

wie, jak skusić policjanta Antka Salachę, wie jak go jeszcze mocniej przykuć przez jego kochankę Wiktę, umie podchwycić za słówko żołnierza Kopcia, by go unieszkodliwić, potrafi sobie pozyskać lokaja Kopcia, maltretowanego przez panicza. Tych wszystkich przekupstwem, szantażem i groźbą umie zmusić do posłuchu, pchnąć do rewo ucji. Kręci się wprawdzie po scenie jakiś towarzysz Bronowski, inteligent, któremu się zdaje, że jest wodzem rewolucji — ale to złudzenie tylko. Przewodzi Lejba Bienenstock.

Ci wszyscy, co muszą go słuchać, czynią to z najwyższą odrazą, wstrętem. Słowa „parchu", „żydzie podły" padają gęsto. Lejba gryzie w sobie wściekłość i czeka na godzinę odwetu. Zwierza się z tem synowi.

**LEJBA BIENENSTOCK:**

Chamy! — Podłe chamy!!
Kundle, co starczy kopnąć nogą,
bo nawet ugryść nie mogą,
a szczekają!! —
Słyszał ty?!
Słyszał ty, jak to masz mordę stulić,
przed byle durniem się kulić,
bo na nim święte chrzty!?... —
Słyszał ty, jaki ty parszywy?
Jaki ty niegodziwy
od maleńkości?... Od kołyski?... —
(*Grożąc pięścią w stronę ulicy*):
Czekajcie!!... — Ja wam te wasze pyski
piekielnym kamieniem wypalę!
Ja was tak powalę,
ja wam taką katorgę urządzę na świecie,
że w pocie czoła pracować będziecie
tam, gdzie nawet najtwardsze bydlę nie podoła!
W wodzie! W ogniu! Pod ziemią! W smrodzie! W huku!
W brudzie!
A my—na wysokościach, my—prawdziwi ludzi!!!".

Z nuty osobistej zawiści przechodzi wnet Lejba w nutę religijną odwiecznej tradycji ludu wybranego, który stworzony jest po to, by panować nad innemi narodami:

**LEJBA BIENENSTOCK:**

Panie! Panie!
Niech się weseli Izrael w tym,
który go stworzył:
a synowie Syońscy niech się radują
w królu swoim! —
*Bo kocha się Pan w ludzie swoim!* —
*I podwyższy cicho ku zbawieniu!* —
Wsławienie Boga w gardłach ich:
A miecze z obu stron ostre w rękach ich! —
*Aby czynili pomstę nad pogany*:
*skazanie między narody!* —
Aby powiązali króle ich pętami:
a szlachtę ich okowami żelaznemi! —
Aby uczynili o nich prawo napisane"...

Ale wśród tych, którymi przewodzi Lejba, zaczyna się budzić świadomość, za czyją sprawę walczą. Lokaj Józef Kopeć, któremu kazano rzucić bombę w domu swych państwa, gdy go, wahającego się co zrobić, zdemaskował przed panienką przyjaciel domu, doktór Grynsztejn, wybucha:

**JÓZEF KOPEĆ:**

Właśnie. W mgnieniu oka.
Z rozkazu towarzysza Lejby Bienenstocka.
o siódmej wieczór. Termin z ust panny Wiktusi,
pod przemocą wypluty. Przecie „także *musi*",
ona, Antek Salacha, nawet pan Bronowski,
ten w „głowę" zamieniony ogonek żydowski,
po to, *byśmy wierzyli w swojskie poczynania,*
*gdy żyd na żydzie siedzi i—żydem pogania!*
i poucza panienkę, skazaną przez żyda,
że i w godzinie śmierci tylko żyd się przyda...
nawet i pan Bronowski. Nawet on.

(*Udając Lejbę*):

.. jeżeli
do siódmej wieczór będziemy wiedzieli,
że rozkazu nie spełnił, że woli jeść chleb
niewolnika, lub zdrajcy—kula w łeb!".

(*Zupełnie wyprowadzony z równowagi*):

Tak się to z nami gada! Tu! Na polskiej Ziemi!
Tak się żydowskie bomby w nasze ręce kładzie,
a potem się przychodzi w żydowskiej paradzie
bronić żydowskich ofiar dłońmi żydowskiemi!

(*Prawie z szałem*):

Wara, panie doktorze!! „Śmierć nieunikniona?!"
Dotąd pan doktór nie wie, kto pogrom wykona?!!
Z wolnej, nieprzymuszonej woli ja to zrobię!!
Słyszy pan?! Józef Kopeć—we własnej osobie!!

Zapoznaliśmy się więc już nieco z drugą postacią żydowską w sztuce Rostworowskiego, z żydem-asymilatorem doktorem Grynsztejnem. Jest on potroszę lekarzem domowym, potroszę przyjacielem domu rodziny. Zdaje się, że beznadziejnie się kocha w „panience". Wpada do pałacu wzburzony, gdy już na dobre rozszalała rewolucja i proponuje całej rodzinie, by przeniosła się na czas rozruchów do jego mieszkania, które leży w dzielnicy, „gdzie, dziwnym trafem, nikomu się nic nie stało". Ze wzburzenia lokaja wnioskuje, że ma on wykonać zamach i demaskuje go. Tę właśnie scenę przedstawiliśmy wyżej. Zaklina więc tembardziej wszystkich, by poszli do niego, zapewniając, że znajdą tam otwarte serca „potomków Kronenbergów i Joselewiczów".

I tutaj rysuje Rostworowski z genjalną wnikliwością różnicę między rodziną polską, a pozornie zupełnie spolszczonym żydem. Gdy „panienka" odmawia prośbie Grynsztajna mówiąc, że nie opuści posterunku domu rodzinnego — żyd-asymilator nie może tego zrozumieć i pyta się, czy chodzi o... meble. „panienka" tłómaczy mu wówczas, co dla każdego polaka z krwi i kości jest najdroższe:

**PANIENKA:** (*Bardzo dobitnie*):

Dom — Ojczyzna —
I Bóg — tych troje.

**GRYNSZTEJN:**

Tak jest. A jeśli kto wyzna
przypadkiem inną wiarę, wówczas niema rady,
choćby szedł na kolanach i całował ślady...
najbardziej zaślepiony zbudzi się, przewidzi...
w oczach przepaść—na wargach, jak przekleństwo:
„Żydzi!" —

Bo nie wystarczy mówić tym samym językiem,
bo nie wystarczy walczyć pod tym samym znakiem,
nie wystarczy! Trzeba być nietylko Polakiem,
nietylko patryjotą, lecz i—katolikiem,
a nawet wtedy brzemię przekleństwa nie spada,
sięga się wstecz po ojca, dziada i pradziada,
i sprawia się—przezemnie mówi żal głęboki —
że z Grynsztajnów powstają czasem Bienenstocki!
Także wyznawcy domu, ojczyzny i Boga. —
Widzi pani — okropna, kamienista droga.

**PANIENKA:**

Panie doktorze, niech pan spokojnie posłucha.
I w nas, i w was rozgrywa się tragedja ducha:
walka o treść żywota. — Myśmy tylko miecze,
a nad nami odwieczny wódz: serce człowiecze
i choćby rozum łączył, co wiara rozdziela,
choćby wiara ściskała dłonie przyjaciela,
staniemy, gdy uczucie jak słońce zapłonie,
ja—przy nowym, pan doktór—przy starym zakonie...
Pan doktór powie: „Ziemia", a ja powiem „Niebo".
Widzi pan, *nie różnimy się orką, lecz glebą.*

W tych właśnie ostatnich słowach „panienki" mieści się ujęcie kwestji przez Rostworowskiego. Przedstawia on typ asymiljatora, nadaje mu nawet wiele cech sympatycznych, lecz nie zamyka oczu i na różnice, które dzielą go od nas, Rostworowski nie łudzi się, jak jego poprzednicy, że da się żydów zasymilować zupełnie, bo wie, że tu nie *o orkę chodzi, ale o glebę*, o inną rasę historyczną, a na to już żadnej rady niema. I dlatego stawia wreszcie tezę zasadniczą przez usta „Jaśnie Pana":

**JAŚNIE PAN:** (*Nagle twardo*):

Bo niema ugody,
gdzie w jednym kraju żyją dwa żywe narody!
Pragnień im nie odejmiesz, ziemi im nie dodasz!
Jeden musi ustąpić—gość albo gospodarz!

Jest to konkluzja, do której dochodzi Rostworowski po analizie typu zarówno Lejby Bienenstocka, jak i Grynsztajna; tem jest właśnie cenniejsza*).

---

*) Konkluzja ta zirytowała ogromnie prasę lewicową. Oczywiście pierwszy wyruszył do ataku p. Widz-Wasowski—Wassercug z „Kurjera Polskiego" jako osobiście zainteresowany i gromko zawołał: „Stosunki między „gościem", a „gospodarzem" nie dają się ująć w sposób tak prostacki".

Rozumiemy to. Pan Wassercug wolałby załatwić sprawę bardziej delikatnie, tem więcej, że chyba się domyśla, iż jednak gość będzie musiał ustąpić z kraju, a nie gospodarz. Dlatego się tak irytuje na Rostworowskiego, powiada odrazu, że „Antychryst" podoba się „żywiołom najniżej kulturalnie stojącym" i jednym tchem dodaje: „O wartości rzeczy często decyduje, kto ją chwali". (Prawdopodobnie p. Wassercug chciał powiedzieć „decyduje *to*, kto ją chwali", bo wątpimy, by przyznawał prawo decyzji chwalącemu. W zrozumieniu jednak trudności odczucia stylu polskiego przez p. Wassercuga, staramy się go mimo błędów poprawnie rozumieć).

Dlaczego to p. Wassercug ma być „żywiołem wysoko-kulturalnie stojącym"—nie wiemy. Wiemy jedynie, że sztukę Rostworowskiego gani i, jako żyd, ganić musi. „O wartości rzeczy często decyduje to, *kto* ją gani"

Trudno nam wdawać się w ramach artykułu w obszerniejszą analizę dzieła Rostworowskiego, które oprócz kwestji żydowskiej, naszkicowanej tu zaledwie, ujmuje również szereg innych zagadnień życia narodowego i społecznego.

Jedno jest niewątpliwe: „Antychryst“ stanowić będzie w dorobku literatury polskiej wartość trwałą pośród jej arcydzieł.

*St. Janicki.*




**Adres Redakcji „Myśli Narodowej“: Zgoda 5, I piętro, tel. 275-11. Godziny przyjęć codziennie od 5—6 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5, tel. 26-58.**

**Rękopisów redakcja nie zwraca.**

Pren. kwart. **3 zł.** Zagranicą kwart. **5 zł.**

**Ceny ogłoszeń:** 1 str. za tekstem **100 zł.** Konto cz. w P. K. O. № 3105.

**Skrzynka poczt. Nr. 150.**

Redaktor: JAN REMBIELIŃSKI.

Wydawca:

z. k. „Spółka Wydawnicza Warszawska A. Sadzewicz, M. Niklewicz i S-ka“

**Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.**

**Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.**